Nr. 47.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnej blizko Nowego-Świata Nr. 1,260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Prenumeratorowie z prowincyi raczą przedpłatę nadsyłać wprost do Redakcyi, w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

Warszawa, dnia 10 (22) Listopada 1871 roku.

OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

ROK VII.

Serya druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie; na Prowincyi: rs. 1 k 20 kwartal. (wtém miesci się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. $11^{1}/_{4}$, oraz za opakowanie i ekspedycyę kop. $33^{3}/_{4}$).
Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

OD REDAKCYI.

Na skutek wielu reklamacyj PP. Prenumeratorów z Warszawy, którzy się domagają, aby im na równi *z prowincyonalnymi, prenumeratorami*, Redakcya „Opiekuna" dostarczyła możność nabycia *za połowę ceny*, **Kalendarza Warszawskiego Illustrowanego**,— taż Redakcya oznajmia, iż porachowawszy się bliżéj z siłami, a pragnąc szczerze zaopatrzyć, choćby wszystkich PP. Prenumeratorów swoich, w tak pożyteczną i ze wszech miar piękną książkę, jaką jest wymieniony Kalendarz, — może to uczynić pod tym samym warunkiem, który ogłosiła dla *prowincyi*, to jest: dołączenia do *roczném* prenumeraty na Opiekuna Domowego, w *samém biórze Redakcyi* (ul. Chmielna, dom Smolikowskiego, Nr. 3 nowy) *i bez pośrednictwa kantorów*, 20 kop. czyli uiszczenia razem rs. 3 kop. 20. Warunek ten służy tu także jak i tam do 1-go tylko stycznia 1872 roku, po któréj to dacie nawet *roczni* prenumeratorowie naszego pisma utracają prawo do nabycia za *połowę ceny* Kalendarza.

Ponawiając zatém raz jeszcze prośbę do wszystkich PP. Prenumeratorów tak z prowincyi jako i z Warszawy, *o pośpiech w załączeniu nam tyczącéj się roku przyszłego 1872 prenumeraty*,—podajemy także raz jeszcze ceny prenumeracyjne:

Na prowincyi:

rocznie	rs. 4	k. 80
półrocz.	„ 2	„ 40
kwartal.	„ 1	„ 20

W Warszawie:

rocznie	rs. 3	k. —
półrocz.	„ 1	„ 50
kwartal.	„ —	„ 75
miesięcz.	„ —	„ 25

Dla chcących złożyć roczną prenumeratę przed 1-ym stycznia i *bez pośrednictwa kantorów*,— cena z *Kalendarzem*:

Na prowincyi:
Rs. 5 kop. —

W Warszawie:
Rs. 3 kop. 20

Chcąc zaznajomić tymczasowo, w małéj cząstce przynajmniéj, czytelników swoich z wartością wzmienionego powyżéj, a proponowanego im do nabycia przy *roczném* prenumeracie, za 20 kop. Kalendarza, — umieszczamy na pierwszéj stronnicy dzisiejszego numeru, kopią jednéj ze znajdujących się w nim rycin, przedstawiającą *Jutrzenkę*, gdy ta wypija ranną rosę z kielicha powoju. (Obraz Hamona, z Paryzkiéj Wystawy Powszechnéj).



Jutrzenka. (Kopia z obrazu Hamona [1])

[1]) Patrz: Od Redakcyi.

SULAMITA.

(Dramat wschodni w pieśniach).

PRZEZ

BOGUMIŁA ASPISA.

VI.

(*Jedna z komnat haremu króla Salomona. Po prawéj stronie wielka złocona kotara; w głębi wielkie drzwi; po lewéj takież okna, przez które wchodzi purpurowe światło*).

SULAMITA.

(*Sama—siedząc z rozpuszczonemi w nieładzie włosami, na miękkiém, jedwabném posłaniu*).

Sen nuży mnie, a jednak spać nie mogę...
I czuwać chcę, a też mi braknie siły...
Łzy dawne mnie, ach, nawet opuściły
I tylko strach... strach męczy mnie niebogę.

Czego on chce odemnie?... dziwny człowiek!
Mało-ż mu Bóg dał pełnych uciech z nieba,
Że jeszcze mu i po mnie sięgać trzeba?
(*Przewiesza w niemocy głowę i zamyka oczy*).
O, gdyby tak już nie roztwierać powiek!
(*Po pauzie—prostując się znowu na siedzeniu*).
Nad ranem dziś—ach, obłęd myśl mi mroczy,
Gdy wspomnę to!—zdręczona i zbolała
I chora tém, żem noce trzy nie spała,
Przymknęłam ot, jak teraz, senne oczy.
Wiatr żarem wiał na pierś mą od pustyni,
Przez okna te płynęło światło rzeką,
A ptaków chór słyszany gdzieś daleko,
Świegotał mi: „Bóg dzień po ziemi czyni!"
I czułam tu, jak wszystka krew mi z głowy
Do piersi szła—że serce nią wzburzone
Gorzało tak, jak słońce rozpalone,
Gdy zieje skwar w godzinie południowéj...
I martwa raz, to znowu w ogniu cała,
Zaczęłam śnić, że... kocham Jonatana,
Znów kocham go... szalona, opętana,
Jak lwica!—Nie!—jam mało powiedziała...

. . . .
Że kocham go...
(*Po dłuższéj pauzie*).
To było... jakby pole—
Po polu wszersz drzémały ciche trzody,
W dali się ćmił las palm zielony, młody,
Zefirom liść oddając na swawolę.
Nad głową mu fruwały rajskie ptaki
Połyskny puch strząsając na murawę,
A daléj—tam—gorzały zorza krwawe,
Po kręgu nieb rozwodząc barwne szlaki.
Przez pole szła do gaju srébrna droga;
Jak pereł sznur migała pośród kwiatów,
Co w szatach z tęcz, z szafirów i szkarłatów
Iskrzyły się, jak gwiazdki u stóp Boga.
W powietrzu drżał od ogni pałac z złota;
Tysiącem wież unosił się w obłoki,
Szkarłatny cień ciskając na dwa boki,
Szeroko,—w dal,—jak słońce gdy blask miota.
Gromady gór piętrzyły się dokoła,
Po ścianach ich czepiały się winnice,
Na szczyt się pnąc, pod śniegi,—w błyskawice,—
Co w jasny rząd zasiadły im u czoła...
A było tam spokojnie, jak na dole,
Cichutko, że—słyszałam własne tchnienie
I włosów szmer, gdym wziąwszy je w pierścienie,
Zrzuciła w dół... i wyszła tak na pole.
I w ciszy téj, śród tęcz tych, ogni, blasku,
Jak złoty lew, co łup swój wziąść przychodzi,
Jak puszczy król... patrzący tylko słodziéj
I dziki mniéj—Jonatan wyszedł z lasku.
I las się tu poruszył mu nad głową,
Jakby w pnie drzew wiatr mocny zadął nagle,
A ptaków chór, rozwodząc lotne żagle,
Zaszemrał w głos i potém ścichł nanowo.
On szedł i szedł... i w końcu stanął przy mnie;
I ja... lecz nie!—ja tego nie opowiem!
Dreszcz przejął mnie—i krew się ścięła mrowiem,
A duch, jak ptak, pod niebo wzbił się w hymnie.
Wtém czuję, ach!.. jak luby mnie do łona
Tu garnie—łza zpod powiek mu wyjrzała
I gdy ja tak drżę jeszcze, tak drżę cała,
On „strzeż się," rzekł „strzeż mocy Salomona!"
I na ten dźwięk, na imię to przeklęte,
Ja zrywam się, wściekléjsza niźli lwica,
Na nogi z snu i z wstrętem kryjąc lica,
Upadam znów nawznak na łoże zmięte;
Bo widzę... ach! czy było to złudzeniem,
Czy jeszcze snem?—ja nie wiem... lecz w oddali,
Ocz dwoje w krwi, błyszczących jąk z korali,
Objęło mnie pożerczym swym płomieniem.
Twarz cała, brew, pod którą lśnią te oczy,
To króla twarz.. i brew ta również jego..
Przybliża się.. Krzyknęłam i na niego
Rzuciłam się, jak sęp, na łup gdy skoczy—
Lecz w rzucie tym, zmyliwszy widać drogę,
Lub też że strach był tylko pustą marą,
Znalazłam się samotna przed kotarą
I padłam znów, jak martwa, na podłogę!

. . . .
I z chwili téj już tylko jedna trwoga
I jedna myśl wciąż mózg mi senny porze...

(*Zatrzymuje się znowu,—przegląda błędnemi oczyma, odwracając głowę poza siebie, kotarę od góry do dołu—następnie zrywając się—gwałtownie:*)

Co!—onby chciał, ten kat bez czci i Boga,
Przez podstęp tak mą miłość zdobyć może?
Na pierś tę, co ból w lód ją zimny stęża,
Oprzéć tę twarz ohydną swą—pierś swoję!?
O!—chybabym nie miała tych rąk dwoje,
By wtedy go nie zdławić w nich, jak węża!...

(*Słania się w tył i upada prawie na posłanie. W téjże chwili roztwiérają się podwoje i z nich tłum tancerzy, śpiewaków i skoczków, ze starcem jakimś tudzież gronem dziewic na czele,—występuje na scenę*).

(*d. c. n.*)

CIEKAWE SZCZEGÓŁY
Z ŻYCIA NIEKTÓRYCH ZNAKOMITOŚCI MUZYCZNYCH.

Kant nazywa muzykę: „piękną grą zmysłowości" (wrażeń). Definicya taka znakomitego metafizyka przypomina mimowoli definicyą materyalistów, którzy muzykę uważają zaledwie za: „pobudzacza nerwów." Wielce poniżającém dla muzyki byłoby postawienie jéj na równi z opium, haszyszem, czarną kawą, lubo, co prawda, trudno jest oznaczyć we wzruszeniach muzycznych, o ile w nich współczuje dusza i zmysły. I tutaj też okazuje się widocznie, jak dalece skomplikowanym jest nasz organizm. Muzyka ma albowiem podwójny charakter. Z jednéj strony, na wzór malarstwa, przemawia do naszych zmysłów i przeto wydaje się materyalistyczną; z drugiéj zaś podnieca wyobraźnią silniéj, aniżeli to najwznioślejsza poezya, lub jakabądź sztuka, uczynić jest w stanie. Tym odcieniem cechuję muzykę jako najidealniejszą ze wszystkich sztuk pięknych.

Muzyka, miłość i konieczność nagrody w drugim świecie za wszystkie niesprawiedliwości tego życia, są to trzy czynniki budzące w nas największe pragnienie świata innego, naprzekór wszelkim rozumowaniom chłodnym i praktycznym. Jeżeli ten wyraz „*nieskończoność*" da się w jaki sposób objaśnić dla człowieka, istoty skończonéj, to muzyka niezawodnie objawi mu nieskończoność. Daje mu przynajmniéj złudzenie, a kto wiedzieć może czy złudzenie nie jest czémś najrzeczywistszém dla nas? Bądź co bądź, w sztuce złudzenie jest samą rzeczywistością.

Wielka muzyka, zstępując w masy ludu, jak to widzimy od kilku lat na koncertach popularnych (u nas Bilse), obudza w prostych duszach przeczucie ideału, popęd do miłości i heroizmu. Czują się wzniesione do wysokości nieznanéj. Ciężar obecnego życia zelżał może skutkiem mglistego marzenia o życiu nagrody. Zdaje się tym prostym ludziom wówczas, że są więcéj warci i mają racyą bo są większi i silniejsi... Serce przepełnia się wdzięcznością zapałem i miłością.

Dla wielu muzyka staje się skarbem rozkoszy, wytrwania i cnoty —tak jest—do téj ostatniéj nawet pobudzają ich geniusze, jak Mozart, Beethoven, Haydn, Weber, Mendelssohn, Chopin i inni. Ileż w nich odnajdują pociechy za dni czarne i smutne, ile wiary, nadziei i radości!

Legenda w jednym z nadreńskich klasztorów niesie, że pewna zakonnica przepędziła 300 lat nad słuchaniem śpiewu ptaka leśnego. Za jednego z Ludwików francuzkich, inna kobiéta usłyszawszy po raz piérwszy w życiu dźwięk organów, miała umrzéć z zachwycenia. W legendach niemieckich muzyka daje życie i śmierć.

Muzyka więcéj wyraża aniżeli słowo, bo wyraża wszystko z mniejszą precyzyą; w tém też jéj wyższość, a jeśli kto chce—i niższość. Przypuszczając jednak, że wahać się można między muzyką a literaturą (poezyą), przyznać przynajmniéj potrzeba, że muzyka wyższą jest od wszystkich sztuk innych.

Jeżeli jakaś cząstka duszy malarza pozostaje w jego dziele, oddycha tam jeszcze jego tchnieniem, podsuwając się naszéj wyobraźni, — to cóż powiedziéć o dziele muzyka? To, nietylko że się samo zmysłom nastręcza, ale każdy łączy duszę swą z duszą mistrza, łączy istotnie i rzeczywiście. Wobec dzieła malarza pozostajemy poza jego obrębem, gdy przeciwnie utwór muzyczny łączy się z nami, a my słuchając go, uczestniczymy w nim, współczujemy mu wewnętrznie, tak iż każdy ze słuchaczy dośpiewuje sobie w duszy na ten sam temat muzyczny, odmienny i właściwy sobie poemat.

Muzyka, będąc jedną z najidealniejszych sztuk, jest zarazem jedną z najrealistyczniejszych—tłumaczącą uczucia ludzi i ras, obyczaje i cywilizacye rozmaite, charaktery i temperamenta jednostek tudzież ludów, ich zdrowie nareszcie fizyczne i moralne. „Żadna inna sztuka, powiada Jerzy Sand, nie rozetli w sposób tak wzniosły uczucia ludzkiego we wnętrzu człowieka; żadna inna nie odmaluje dla oczu duszy, takiéj razem świetności natury, zachwytu kontemplacyi i charakteru ludów.... burzy, namiętności, rozpaczy i cierpień. Muzyka daje nam i odbiéra naprzemian nadzieję, entuzyazm, wiarę, zwątpienie, sławę, spokój—to—i jeszcze więcéj.... wszystko mocą swego geniuszu i odpowiednio charakterowi naszemu. Tworzy nawet widok zewnętrzny i niewpadając w dziecinne efekta dźwięku, ani w ślepe naśladownictwo wrzawy istotnéj, pozwala nam widziéć poprzez mglistą zasłonę przedmioty zewnętrzne, do których przeniosła naszę wyobraźnią. Niektóre kantyki wywołują przed oczy nasze olbrzymie cienie starożytnych tumów, a zarazem dają nam wniknąć w myśl ludów, które je budowały i które padały na kolana, śpiewając te hymny religijne. Dla takiego, któryby umiał dzielnie a prawdziwie wyrażać muzykę rozmaitych ludów i któryby umiał *słuchać*, niepotrzebną jest podróż naokoło świata, przypatrywanie się narodom, oglądanie ich pomników, przebieganie ich stepów, gór, ogrodów i puszcz. Pieśń żydowska dobrze oddana, przenosi nas do synagogi; cała Szkocya drga w prawdziwéj piosnce szkockiéj, tak jak cała Hiszpania w prawdziwéj piosnce hiszpańskiéj. Bywam często także w Polsce, w Niemczech, Neapolu, Irlandyi, Indyach i znam lepiéj tych mieszkańców, niż gdybym się im przypatrywała długie lata. Potrzeba było tylko jednéj chwili, ażeby mnie przenieść w tamte strony... Czar muzyki sprawiał to wrażenie."

Każda rasa ma swój charakter w muzyce tak samo, jak i we wszystkiém innem. „Zdawało mi się — pisze p. de Custine w swéj książce o Rossyi — że muzykę rossyjską przyniesiono z Bizancyum do Moskwy; zapewniają mnie przeciwnie, że jest ona miejscową; to tłumaczy mi głęboką melancholią tych pieśni, szczególniéj tych, które usiłują być wesołémi szybkością tempa. Pieśni te bolesne, są jakby skargą."

Rasa germańska muzykalną jest z natury, również włoska, odmienna tylko charakterem, o ile klimaty i ludy w tych krajach odmienne są i różne. Francuzi z natury mało są muzykalni, stają się nimi przez cudowny, im właściwy dar: przyswajania sobie obcych żywiołów. W ogóle umysł francuzki zwać się może umysłem *prozy* i *precyzyi* raczéj, aniżeli muzyki i poezyi. Są wszakże i tutaj znakomici kompozytorowie, jak: Gounod, Berlioz, Thomas, Auber, Masset, Mehul, Boieldieu, Hérold. Zdarzyło się wszakże, że mimo iż Francuzi nie są z usposobienia muzykalni, dopomagali przecież kompozytorom innéj narodowości do tworzenia arcydzieł. Najprzód kompozytor Wilhelma Tella umiał połączyć z geniuszem płodności włoskiéj, z bogactwem instrumentacyi, potęgę akcyi dramatycznéj, właściwéj Francuzom. Rasę słowiańską w ogóle, a osobliwie polską, można nazwać muzykalną z natury, biorąc śpiewność za charakterystyczne muzyki jéj oznaczenie. Tematów ludowych mnóztwo, które geniusze tacy jak Chopin i inni, uwiecznić umieli w formie przystępnéj dla całego świata,—najlepszym tego dowodem. Wielu też mamy pieśniarzy znakomitych, do których przedewszystkiém zaliczyć trzeba niewyczerpanego Moniuszkę. Opera polska, aczkolwiek już wyrosła z pieluch, nie dobiła się jeszcze europejskiego rozgłosu, — lecz i tu ludzie nieposledniego talentu, chwalebne położyli fundamenta. Krupiński, Elsner, a późniéj Moniuszko, Dobrzyński i młody, wielkich zdolności kompozytor Wł. Żeleński, zbudowali i budują muzyce naszéj szeroki gościniec przyszłości.

Rasa anglo-saksońska, wyłącznie przemysłowa, w rzeczach muzyki ma tylko dobre intencye. Anglicy, a szczególniéj angielki, śpiewają fałszywie, nawet rzec można, mówią fałszywie. W Ameryce gorzéj jeszcze. Dosyć przeczytać w téj mierze dzieła pp. Alfr. Assolant i Oskara Commettant. Jeden z nich tak między innem pisze: „Potrzeba sobie wyobrazić, czém jest sztuka u ludu, na którym dowcipne słowo takie samo wrażenie robi, jak żart clowna; gdzie kobiéty noszą kostium kwakierek i gdzie ideał muzyki widzą w piosence żartobliwéj, spiewanéj seryo. O estetyce *yankesów* dałoby się dużo powiedziéć, również jak o sprzedaży obrazów, a raczéj ram u nich. Malowidła, które służą za projekt dla ram, przedstawiają albo szpinak, co się nazywa krajobrazem (landscapes), albo omlety fantastyczne, albo jesień amerykańską na brzegach Atchafalaja, Appalachicola lub Mattawamkeag... Strach!—krytyka muzyczna w Nowym Yorku jest najgłupszą ze wszystkich krytyk.

Z tego już widzimy, że tak samo w muzyce jak w literaturze, rasy i narodowości zachowują swój właściwy charakter.

Muzyka jest wreszcie jedną ze sztuk, które się najbardziéj rozwijają, zmieniają, odnawiają, czy to skutkiem namiętności lub kaprysów *indywidualnych*, czy zmiany gustu publiczności, czy też natchnienia moralnego każdego pokolenia. W dziele albowiem człowieka genialnego — w muzyce, literaturze lub malarstwie — znajduje się, prócz *idiosynkrazyi* naturalnéj i dziedzicznéj, stanowiącéj jego osobistość, prócz wiadomości nabytych przezeń aż *do chwili tworzenia*, jeszcze zbiór idei, uczuć i instynktów jego epoki. Cały ciężar doświadczenia moralnego uprzedniego, cała wrażliwość narodu i ludzkości, zbiega się w danéj chwili w natchnienie twórcy indywidualne. Wpływy te, tworząc strumień magnetyczny, unoszą człowieka genialnego, dodając siłę swą do sił jego osobistych. Masy składające ludzkość, płyną naprzód głębokim przypływem i odpływem, tak jak morze. Artysta wié li o tém lub nie, odczuwa nawał tego oceanu, który go naprzemian przygniata lub pobudza i zapala. Atoli talent czy geniusz artysty zawisł przedewszystkiém od przewagi jednych warunków fizyologicznych, fatalnych, dziedzicznych, wyższych nad wszelki sąd osobisty, nad życie i pewne przyzwyczajenia moralne. Jeżeli prawda jest, że efekt estetyczny jakiegoś dzieła zależy nie tyle od dzielności przymiotów artysty, ile od jego jedności i harmonii to czyż ta jedność i ta harmonia nie wytryskują przedewszystkiém z jego organizacyi i czyż one nie są wypływem dziedziczności fizycznéj lub moralnéj rasy, klimatu i wieku?

Możnaby łatwo, śledząc bieg życia każdego kompozytora, wynaléźć jego psycho-fizyologią, ale popadlibyśmy w labirynt szczegółków. Trzymajmy się więc kilku tylko znamion.

Zróbcie analizę charakteru i organizacyi każdego kompozytora, jego namiętności, humoru i stanu zdrowia, a potém posłuchajcie jego utworu, lub naodwrót, a odkryjecie między dziełem a człowiekiem podobieństwo konieczne. Myśl odzwierciedla się w każdym passażu, ponurym i melancholicznym, lub śmiejącym się i wdzięcznym, heroicznym i wzniosłym. Zmiana usposobienia moralnego i fizyologicznego odbija się jak w źwierciedle. Ztąd poszło orzeczenie, że muzyka jest fotografią namiętności. Odnaléźć w niéj można charakter i zwyczaje artysty. W Haydnie jakiż wdzięk naiwny i wzruszający, namiętny i spokojny! Jaka szczerość, jaka ludzkość! mianowicie jaka prostota! Haydn pozostał zawsze *dziecięciem chóru*..... natchnienie dla jego duszy niewinnéj było największém szczęściem, największą nagrodą, jakiéj mu Bóg mógł udzielić. Nigdy nie usiadł do fortepianu, nie pomodliwszy się. Wszystko w nim odbywa się odrębnie, poza światem zewnętrznym, w podziwienia godnéj pogodzie ducha. Haydn jest w pewnym względzie muzykalnym Perugino. Perugino tém jest dla Rafaela, czém Haydn dla Mozarta. „Muzyka niemiecka — rzekł Humboldt—córą jest pieśni ludowych." Prawdziwe orzeczenie, zwłaszcza co do Niemiec wschodnich. Przykładami są Haydn i Mozart, obadwaj zrodzeni na granicy Czech i Węgier, w krajach pełnych legend, które umieli podsłuchać.

Mozart, niesłychanéj dojrzałości, komponował już w 4—6 roku życia, a umarł w 35-tym. Ileż dzieł w tak krótkiém życiu! Mając lat 28 miał piérwsze oznaki choroby piersiowéj, połączonéj z czułością nerwową, która go przerzucała w czarną melancholią. Praca, jedyny ratunek przeciw temu, pogorszyła chorobę. Mówią też, że hołdował zanadto płci pięknéj, tak jak Pergolese (który również umarł na chorobę piersiową w 32 roku życia), jak Rafael, Weber, Beethoven, Bellini i Chopin. Wszyscy ci wielcy artyści, organizacyi nerwowéj, umiérają (z wyjątkiem Beethowena) zbyt wcześnie, lubo z pozostawieniem arcydzieł.

Mozart i Beethoven są muzykami z urodzenia i synami mu-

zyków. Zarodki geniuszu muzycznego palą się w ich krwi i nerwach ogniem, który w nich błyszczy i zwęgla je na popiół. Ileż pochłaniających żywiołów w życiu Mozarta! Od dziecinnych lat wojażuje ze swym ojcem, obiega Niemcy, Francyą, Anglią, Flandryą, Holandyą, Szwajcaryą, Włochy; wzbudza wszędzie podziw i uwielbienie wykonaniem zarówno utworów cudzych jako i własnemi kompozycyami. Ludność medyolańska uniesiona zapałem podczas przedstawienia *Mitrydata*, krzyczy: *Eviva il maestrino!* Powróciwszy do Niemiec, błąka się przez kilka lat, nie mogąc znaléźć pomieszczenia jako kapelmajster. Życie trawi w pracy zaciętéj i w walce z ubóztwem. Tworzy arcydzieła jedne za drugiemi, ażeby zarobić na chléb codzienny. Oto początek tylu dzieł patetycznych i tylu skarbów wzruszeń! Co dziwi więcéj, to radość którą się tam natrafia. Lecz taką bywa potęga muzyki;—wyciąga ona dusze z piekieł, tak jak Orfeusz Eurydykę z pomocą liry; cuci je z martwych i podnosi z głębin przepaścistych boleści w niebiosa... Mozart powraca do Paryża,—tam, sam bez środków do życia, widzi matkę umierającą w nędzy. Serce jego pęka, lecz się nie zamknęło..... (*D. c. n.*)

Z KRONIKI NAUKOWÉJ.

(*Dokończenie*).

* * *

Niezmordowany wędrowiec, Grandidier, od lat sześciu studyujący Madagaskar, wydaje wreszcie topografją słynnéj téj wyspy, uzupełniając swą pracę mnóztwem szczegółów geologicznych, hydrograficznych, orograficznych, botanicznych i t. p. Do r. 1866, Owasy, plemię dzikie, stawiali zapory w badaniu wnętrza ich kraju. Żaden cudzoziemiec nie mógł się tam wedrzéć, ztąd też Madagaskar, był, można powiedzieć, jak najniedokładniéj przedstawiany Europie. Grandidier'owi obecnie zawdzięczamy jego poznanie bliższe. Zamiast bogatéj roślinności, o któréj rozpowiadali bajeczne cuda turyści, naturalista ten znalazł w wielu miejscach rozległe bezpłodne równiny, góry wysokie lecz nagie, jałowe, wreszcie środek wyspy całkiem niezamieszkały, życia pozbawiony.

Natomiast mówi on o wielkich spławnych rzekach, przerzynających wyspę, które przedstawiają wszelkie warunki przychylne uprawie roli i rozwojowi przemysłu.

Praca Grandidiera, będzie też wielce pożądaną nietylko dla naturalistów ale i przemysłowców, którzy zapewne z szacownych wskazówek autora skorzystać potrafią.

* *

Na polu naszego piśmiennictwa przejawiło się kilka ważniejszych publikacyj, o których byłoby grzechem nie wspomnąć.

Pierwsze między niémi miejsce należy się przekładowi *Historyi roślin* Figuier'a, dokonanemu przez autora Flory Polskiej, a co więcéj, pomnożonemu dopełnieniami tłumacza tak obszernémi, że książkę tę możnaby prawie poczytywać za jego pracę.

Bo też jéj Waga nie szczędził wcale; przedmiot rozpatrywany dość pobieżnie przez Figuier'a rozszerzył, rozwinął i uporządkował. Dzieło nic na tém nie straciło, przeciwnie, złożyło się w poważną całość, trzy tomy obejmującą, pociągającą tak stylem żywym, jak i bogactwem treści, przedstawiającéj najciekawsze zjawiska świata roślinnego.

Tom I obejmuje organografją czyli naukę opisującą narzędzia roślinne, — fizyologją objaśniającą funkcye tychże narzędzi zwanych też organami,—tudzież klassyfikacyą państwa Flory. Wkońcu, tłomacz pomieścił układ przyrodzony Adryana Jussieu, który dopełnił stosownemi objaśnieniami.

W tomie II czytelnik znajduje opis roślin jawnopłciowych. „Figuier,—powiada tłomacz we wstępie,—wyłożył zaledwie 40 familij i to zbyt pobieżnie; my opisaliśmy ich przeszło 170, to jest wszystkie znaczniejsze, czyli takie, w których mieszczą się gatunki odznaczające się jakimkolwiek użytkiem, osobliwą organizacyą, lub zabójczym przymiotem, tudzież te, co obejmują rośliny naszéj Florze właściwe."

Tom III mieści rodziny skrytopłciowe, ze wskazaniem osobliwości narzędzi reprodukcyjnych tych roślin ciekawych; daléj autor opisuje drzewa olbrzymie. Wreszcie czytelnik znajduje wykaz roślin używanych i geografją botaniczną.

Wydanie polskie Waga pomnożył jeszcze *Dodatkiem*, w którym zebrał najwięcej zajmujące artykuły o botanice, z rozmaitych autorów czerpane.

Dołączony do tomu III spis wyrazów naukowych, tudzież wykaz polski i łaciński rodzin, rodzajów, i gatunków, ułatwia ich znalezienie czytelnikowi, tem więcéj, że często o jednéj roślinie we wszystkich tomach jest mowa.

Układowi książki nic zarzucić nie można—treści, chyba bogactwo szczegółów—formie, pewien wykwint stylowy, z którego dobrze jest znanym Figuier. Historya roślin zaiste do najpiękniejszych u nas publikacyj naukowych należy, już nie bacząc na wydanie staranne i bardzo ozdobne, gdyż dzieło to liczy 415 drzeworytów a rysownik francuzki, zdolny bardzo artysta p. Faguet, wszystkie wizerunki wykonywał z natury.

Autor „Flory Polskiéj" już nieraz zbogacał naszą literaturę naukową przekładami celniejszych prac zagranicznych pisarzy. Przed kilku laty przełożył Flammaryiona; obecnie wystąpił z Figuier'em, nieporównanym kompilatorem Francyi.

Pozwolimy sobie wszakże zrobić maleńką uwagę—stawić drobny zarzut téj pięknéj pracy tłumacza. Język polski z natury swéj nie znosi składanych rzeczowników, w tworzeniu zaś nowych terminów tłomacz tego sposobu często nadużywa. — I tak Eukaliptusy nazywa *Rozdrębami;* drzewo kajeputowe (Melaleuca Cajiputi) *Czarnobilem kajeputowym;* Dezmodyę bengalską (Desmodium gyrans) *Poruszliwym wahadlikiem;* Akacyę zwyczajną (Robinia pseudoacacia) *Grochodrzewem;* Kaktus melonowaty (Melocactus) *Jeżomęlonem;* Kaktus dyniowaty (Mammilaria) *Dyniokłębem...* że pominiemy wiele a wiele innych.

Przyznajemy, że pod względem naukowym, termina powyższe odpowiadać mogą wybornie charakterom roślin, jakim nadane zostały; w każdym jednak razie, niezgodne są one z duchem języka. Nie zmniejsza to wszakże wartości téj pięknéj książki, którą tłómacz opracował ze zwykłą sobie troskliwością i szacownémi objaśnieniami podopełniał.

Z kolei mówić nam przychodzi o małéj skromnéj książeczce pod tytułem *Mały Fizyk*, wydanéj nakładem Redakcyi Przeglądu Tygodniowego.

Książeczka ta, jak karta tytułowa wskazuje, przeznaczoną jest dla dzieci od 8 roku życia. Obejmuje ona najrozmaitsze doświadczenia z magnesem; obznajmia młodego czytelnika ze zjawiskami siły elektrycznéj, z telegrafami, galwano-plastyką, z powietrzem i próżnią, z wodorem, z własnościami cieczy, z prawami mechaniki, wreszcie z optyką i potrosze z mikroskopem. Autor założył sobie wyraźnie zwrócić uwagę dzieci na najciekawsze zjawiska fizyki, aby do niéj zachęcić, a posługuje mu do tego niezaprzeczony talent wypowiadania słowa nauki w formie przystępnéj, żywéj, urozmaiconéj, a prostéj. Dziełko to składa się z rozdziałów, których treść objaśniają drzeworyty. Między innémi znajdujemy następne tytuły: Trumna Mahometa.—Dowcipna gąska.—Zegarek czarodziejski.—Mysz w jamie.—Galwano-plastyka.—Skoczek na wieży.—Ogień w ręku.— Przywoływanie duchów. — Taniec umarłych.—Taniec czarownic i t. p.

Z wyliczenia tego czytelnik może osądzić, że autor umié rozbudzić w dziecku ciekawość; szkoda tylko, że obznajmiając je ze zjawiskami świata fizycznego, nie objaśnił ich przyczyny, pozostawiając to samym dzieciom do rozwiązania. Odpowié mi zapewne autor, że z pomocą takiéj metody dziecię uczy się myśléć, ze skutków wnosić o przyczynach — że są prawa nauki, których wytłómaczyć dziatwie niepodobna — że wreszcie probujący tego, pomimo talentu rzeczby tylko zagmatwał. Nie przeczymy, że dziecię z bystrém pojęciem przyzwyczai swój umysł do rozwagi, że potrafi samo sobie zdać sprawę ze zjawisk opisywanych w Małym Fizyku. Alež w takim razie, co będzie z dzieckiem niepojętném, (a takich wiele!), zarzucającém pytaniami o objaśnienie matkę lub ojca, którzy przypuśćmy, zostaną tém nie żartem zakłopotani, jak to niestety u nas zbyt często się zdarza? Sądzimy więc, że należało podać choć pobieżne objaśnienia, choć w kilku słowach określić prawo, zasadę, własności ciał, z któremi obznajmia autor młodego czytelnika.

W każdym razie, książeczka to stokrotnie lepsza od wszelkich powiastek, któremi karmiémy naszą dziatwę do przesytu i niezaprzeczenie ucząca myśléć, a już to samo nie małą stanowi zaletę.

Nakładem téjże Redakcyi wyszedł pierwszy zeszyt *podręcznéj Encyklopedyi powszechnéj*, z kartą Ameryki północnéj. Przeglądając go, znajdujemy opracowanie dość staranne, z widocznym względem możebnego streszczenia rzeczy; nie obeszło się tu jednak bez usterek. Wiadomo naprzykład, że pręciki *grochodrzewu* są w jedną wiązkę spojone, prócz dziesiątego pręcika, który jest swobodnym. Z encyklopedyi przecież dowiadujemy się, że w *grochodrzewie* pręcików jest dziesięć dwuwiązkowych.

Z gatunków Akacyi wymieniono tylko dwie: Akacyą białą (Rubinia pseudoacacia) i żółtą, którą właściwiéj byłoby nazwać

Syberyjską lub *Drzewiastą* (Robinia Garagsna *v.* Garagana arborescens),—tymczasem rodzaj ten reprezentują liczne jeszcze gatunki, jakoto: Akacya różowa (Robinia hispida), Grochodrzew Krzewiasty (Robinia frutescens), Akacya Kateszu (Acacia Gatechu), Akacya prawdziwa (Acacia Vera), Akacya Arabska (A. arabica), A. Senegambska (A. Albida), A. Adansona (A. Adansonii), A. Jedwabista (A. Julibrissin) i Akacya Różnolistna (A. Heterophylla).

Zwracając uwagę Redakcyi na pomyłki i opuszczenia tego rodzaju, często nieuniknione w szerszych pracach,—zdaje się nam, że wyświadczamy jéj istotną przysługę. *W. Niewiadomski.*

O TEMPERAMENTACH DZIECI.

Odczyty publiczne, miane w Krakowie,

PRZEZ

Lucyana Falkiewicza.

(Ciąg dalszy.)

d). Bojaźliwość.

Podobnie jak człowiek dojrzały, znajdujący się gdzieś pociemku, a nieznający dokładnie miejscowości, ani w téjże rozrzuconych przedmiotów, któremiby mógł zmysłami swojemi zawładnąć, czuje się być ścieśnionym widząc się zaś osamotnionym, nie może się pozbyć jakiegoś trwożliwego uczucia; [1])—tak samo dzieje się z dziećmi, które zpowodu ich zbyt szczupłego obrębu doświadczenia, uważać można, jakoby zostawały w ciągłéj ciemności, lub grubym zmroku. Bojaźliwość u dzieci jest zatém naturalném ich uczuciem, która z wiekiem dojrzalszym sama ustępuje. Powszechnie wszakże znaną jest rzeczą, że to uczucie przez lekkomyślne drażnienie i przedwczesne czytanie lub opowiadanie bajek o strachach i powieści o rozbójnikach,—może być doprowadzone do największéj lękliwości, a nawet do tchórzostwa, co nietylko chorobliwy stan duszy, ale i ciała sprowadzić może.

Dzieci bojaźliwego usposobienia należy otaczać największą pieczołowitością i względnością. Trzeba bowiem o tém wiedzieć, że bojaźliwość należy do rodzaju uczuć najsilniejszych, mogących zczasem dziécię unieszczęśliwić nazawsze.

Bojaźliwego dziecka nie powinniśmy pod żadnym pozorem zostawiać bez światła w nocy, a najbardziéj przy zasypianiu. Nadto chronić je należy od obcowania ze sługami zabobonnemi, a przedewszystkiém przestrzegać, ażeby te swoim rubasznym i prostackim sposobem postępowania, dzieci nie drażniły i strachami im nie groziły.

W późniejszym wieku, przy zastosowaniu się do pomienionych środków ostrożności, mogą rozsądne uwagi w téj mierze i dokładne roztrząsanie przyczyn bojaźliwości wiele naprawić, — nawet do tego stopnia, że z najbojaźliwszego dziecka wychowa się najodważniejszy wyrostek. Przedewszystkiém wszakże wypada miéć to ciągle na uwadze, ażeby takie delikatnę uczucie chronionem być mogło od gwałtownego przestrachu. Nadto czuwać potrzeba, ażeby nie dopuszczać sposobności, mogącéj rozniecić trwogę przed jakiém bądź grożącém niebezpieczeństwem. Odwaga bowiem i śmiałość u dzieci właśnie na tém głównie polega, iż te, niezważając na niebezpieczeństwa, na nie się narażają.

Należy dzieci od niebezpieczeństwa chronić i takowe mimo ich wiedzy usuwać, lecz szkodliwém jest, jeżeli zbyt troskliwi, raczéj bojaźliwi rodzice, najmniejsze niebezpieczeństwo w zatrważający sposób ustawicznie dzieciom przed oczy stawiają. Zetknięcie się dziecka z małemi przykrościami, doda mu odwagi i hartu do oswajania się z większemi trudnościami, a nakoniec do pokonywania takowych i spojrzenia samemu niebezpieczeństwu śmiało w oczy.

Cnotą tego zakresu jest wdzięczność.

Po wykazaniu wad w zakresie uczucia, naznaczamy *wdzięczności* właśnie to miejsce, ponieważ ta od wad poziomych ku wyższéj zwrócona sferze, szlachetną naturę człowieka z taką samą objawia pewnością, jak termometr stopień ciepła wskazuje.

Ludzie złego wychowania, dzieci skutkiem zepsutego towarzystwa, bywają zazwyczaj niewdzięcznemi. Niewdzięczność można nazwać dzikością i surowością serca, które dlatego zaciągnionego długu spłacić nie chce, ponieważ się wierzyciel o takowy wyraźnie nie dopomina. Niewdzięczny zapomina o odebranych dobrodziejstwach, lekceważy je, późniéj wyraża się o nich z pogardą, twierdząc, że mu się takowe z prawa należały, a w końcu odpłaca złém za dobre.

Wdzięczność w dzieciach można nazwać najczystszym objawem pokory, czynną miłością względem rodziców i nauczycieli.

Cnotę wdzięczności zaszczepia się w dzieciach i krzewi najskuteczniéj i najpewniéj, jeżeli ich nie zmuszamy do przyjmowania kary z takiém samém uznaniem, jakiego się domagamy za świadczone względy i dobrodziejstwa; bowiem wdzięczności nanikim wymódz niepodobna, zwłaszcza za karę chociażby ta była najskuteczniejszą. Uznanie dobroczynnych skutków kary i prawdziwe ich ocenienie, następuje zazwyczaj już w najdojrzalszym wieku, kiedy obrazy ubiegłéj przeszłości potrafimy z rozwagą zestawić ze stanem rzeczywistéj teraźniejszości,—czego jeszcze tylko po ludziach mądrych i cnotliwych spodziewać się można.

Świadczonych dobrodziejstw, nienależy jednak ustawicznie dzieciom na pamięć przywodzić i przy każdéj sposobności z onych kazać się rachować. Z drugiéj strony potrzeba dziatwę przyzwyczajać do przyjmowania najdrobniejszych nawet usług wyrazem miłym i wdzięcznym.

Rodzice i nauczyciele, którzy w sercach swych wychowańców głęboko zaszczepili religią, mogą z największą pewnością liczyć na ich wdzięczność.

Ta piękna cnota ma wartość podwójną, bowiem zdobi ona zarówno wiek sędziwy, jako też i młodość. Wewnętrznie uważana, przedstawia się wdzięczność jako nieoceniony klejnot serca; zaś zewnętrznie, jaśnieje to święte uczucie wobec świata najwymowniejszym przykładem do naśladowania dla drugich; — bo też ten przymiot tak szlachetny, a niestety tak rzadki w obecnych stosunkach familijnych i społecznych, jest najwyraźniejszą oznaką dobrych obyczajów i ich najwspanialszą ozdobą.

ROZDZIAŁ IV.

2. ZAKRES WOLI.

Wola jest to samodzielne zakréślenie sobie czynności i stanowiska, wobec wszelkich przeciwko istocie naszéj występujących wrażeń i wpływów.

Tu przedstawia się dusza ludzka w charakterze samoistności — bo cele i środki do niéj prowadzące wybiéra sama. Taką wolę nazwiemy *praktycznym rozumem*, który założenia ogólne sam rozwiązywać umié.

Rozumna wola panuje nad wszystkiemi innemi władzami duszy, którym nadaje właściwy, od siebie saméj zależny kierunek. Wola zdolną jest nawet zmysły nasze od wyobrażeń z sobą niezgodnych odwrócić i ku innéj uwadze skierować. Przy namyśle działa stanowczo i rozkazująco na pamięć, przywołuje bowiem wyobrażenia z dalszych sfer, łączy je z bliżéj spokrewnionemi i podnosi takowe do nowego życia. Wola nadaje wyobraźni właściwy kierunek, sprowadzając ją na przedmioty do jéj celów służące. Wola jest przeciwciężarem dla uczucia, wywołując umyślnie inne uczucia lub wyobrażenia, ażeby takowemi nieodpowiednie sobie zobojętnić, lub z tła działania usunąć.

Ta potężna dźwignia życia umysłowego, zdolną jest wyłącznie czynności rozumu najwierniéj odwzorować i w życie zewnętrzne wprowadzić.

Na tym tedy stopniu funkcyi duchowéj, przychodzi dusza ludzka od jednéj samowiedzy do drugiéj, t. j. do poczucia, że myśl i wola do niéj należą i że całą własnością człowieka jest on sam ze swym *wolnym* duchem i czynem, którego jest twórcą — bez względu na to, że skutki czynu leżą już poza obrębem jego woli.

Człowiek rzuca czyny swe w strumień życia, a chociaż te czyny jego stają się igraszką tysiąca mniejszych i większych fal, odmętami okoliczności poruszanych, korzystnie lub szkodliwie na jego działanie wpływających,—to jego wolności bynajmniéj nie uwłacza; bowiem władza nad skutkami czynu śmiertelnikowi daną nie jest, ale tylko wolność działania według swego wyobrażenia.

A zatém nie skutek uszlachetnia czyn, lecz wola która go zrodziła, szlachetny zamiar, jaki towarzyszył działaniu przy rzuceniu go w życie.

Otóż wychowanie winno wolę wychowanka tak skierować, ażeby ta zawsze była szlachetną a w wyborze celów roztropną, t. j. ażeby w założeniu swém nie przechodziła miary ludzkiéj możności.

Ileż to dzieci, mianowicie silniejszego temperamentu, wyrzeka, że są krępowanemi w swéj woli dlatego, że im wszystkiego według ich upodobania i wyobrażenia robić nie wolno i z tego powodu mienią się być niewolnikami.

Wychowanie winno takiego malkontenta wyprowadzić z błędu i przekonać, że jest wolny, — wszakże wolno mu wszystko robić co

[1]) Mówią że Napoleon I miał przekonanie, iż pomiędzy swymi generałami dwóch tylko ma takich, którzyby na godzinę przed wschodem słońca zdolni być mogli do okazania niezachwianéj odwagi.

jest *dobre*, a tylko *źle* robić nie wolno... bo właśnie *złe* narzuca na ducha niewolę w swiecie moralnym.

Kierować więc wolą wychowańca jest może jednym z najtrudniejszych zadań pedagoga, który z całym zapasem swéj wiedzy i wszystkiemi siłami własnéj woli naprzeciw złym skłonnościom krnąbrnego pupilla wystąpić winien, ażeby w nim wytworzyć taką wolę, któraby z prawidłami moralności w największéj pozostawać mogła zgodzie; nadto ażeby mu zapewnić panowanie nad sobą samym, i nie dopuszczać aby złe nałogi wszelki sposób mu odjęły do cofnięcia się z brzegu przepaści.

Wadami woli są:

a) Zdziczałość, b) Wybuch gniewu, c) Uporczywość, d) Gadatliwość.

Cnotą woli u dzieci jest—pilność.

Walny koncert amatorski filharmonijnego towarzystwa.

Jednym z najpierwszych karykaturzystów-filozofów, a najpierwszym nawet, według naszego zdania,—jest Jan-Ignacy-Izydor Gérard, noszący jeszcze przydane nazwisko Grandville'a, pod którem przeszedł do potomności, a które również jak i pierwsze, odziedziczył w spadku po ojcu. Urodzony w Nancy, w Lotaryngii, 15 września 1803 roku, gdzie tenże ojciec jego, jako malarz, pracowite i surowe pędził życie,—kształcił się z początku w miejscowém Lyceum; następnie zaś, na życzenie bardzo znanego wówczas miniaturzysty Mansion'a, wyprawiony przez rodziców do Paryża i stawszy się uczniem tegoż Mansion'a, zyskał sobie w krótkim czasie popularność, któréj mu niejeden ze starszych w zasłudze i w prawach do powszechnego uznania kolegów, zazdrościł. Pierwszą jego pracą, która zwróciła na się zaraz uwagę znawców, była tak zwana *Sybilla salonów*, zbiór obrazków fantastycznych na 52 kartach, dla których osobną nawet grę jakąś wymyślił. W tymże czasie właśnie wynaleziono sztukę litografii; Grandville był jednym z pierwszych, który ją do swego talentu zastosował i tém samém jéj użyteczność w dziedzinie sztuki wykazał.

Najważniejszemi właśnie z tego rodzaju produkcyj Grandville'a i mającémi niezaprzeczone prawo do nieśmiertelności, są jego *Metamorfozy czyli przemiany dnia* (Metamorphoses du Jours), z których jednę właśnie podajemy dziś na str. 376, a których całą seryą jeszcze myślémy, w peryodycznych odstępach, przedstawiać w dalszych numerach „Opiekuna“. Myśl tych rysunków polega na uplastycznieniu wszystkich prawie charakterów ludzi w rysach fizyognomii zwierząt i dlatego słusznie Charles Blanc, w przedmowie swojéj do Przemian, nazywa Grandville'a *Buffon'em satyry*. Oryginalność tych szkiców, wykonywanych niby z pozorną niedbałością i w przelocie tylko, jak mówią, polega głównie na umiejętności odpowiedniego przyprawiania głów zwierzęcych i zwierzęcych, że tak powiemy twarzy, do korpusów ludzkich, w ubiorach i pozycyach, które zdają się saméj prawdzie jeszcze imponować *prawdziwością* i.... *naturalnością* samą zawstydzać *naturę*.

Patrzcie-no bo na tego małpę-dyrektora, z jakiem ten upewnieniem, że skończonym jest mistrzem-twórcą, małpiéj swojéj naturze czyniąc mimowoli zadość, smyczkiem po strunach cudze namaszczenia naśladuje. Zda się świat cały mierności gra na wyciągniętych ku bogini Pretensyi policzkach tego dowódzcy smyków i trębaczy, którzy ze swéj strony, wszyscy znowu razem, niższymi są od niego w hierarchii błago-naśladownictwa.

Ten osioł-wiolonczellista np. jakże dobrze w fizyognomii swojéj, utkwionéj z namaszczeniem w nuty nieswojego pomysłu, przypomina namaszczenie wszystkich osłów roboczych, co usiadłszy z wielkiém piórem przy większym od nich samych stole, myślą że w literach, którémi zapisane akta, piorunowe przykazania Mojżesza czytają i głoszą potém światu!

Albo tych dwóch kotków-skrzypków po drugiéj stronie—czy dobrze ich widzicie i poznajecie, kto oni? Nie braciaż to nasi rodzeni, wygi-wyjadacze, udający filantropów i pobożnisiów śród ludzi, a czatujący na cudze dobro tylko, aby się z niém jak z myszą, w ciszy czułych serc swoich obejść?

Tu znów owe dwa niedźwiedzie z basem i contrabasem — to jak rywale-wydawcy dwóch bogatych pism peryodycznych, z których jeden z drugim o tyle się tylko godzi, pomimo urzędowego koleżeństwa w prasie, o ile trzymane w rękach ich instrumenta jednakowo ciężkie, z saméj natury swojéj, tony wydawać muszą. A karki ich, karki tłuste!—przypatrzcie no się tylko! A uszy te, którémi nic więcéj nad głos staro-poważny, wiecznie jednakowo-brzmiący basetli swoich o baranich strunach, nie słyszą.

Cóż tu ten znowu zając, z wpatrzonémi trwożnie przed się oczkami, nad bębnem jak pół-glob dużym, robi? Czy wielkiemi pałkami, którémi w ten pół-świat wali, chce własnemu serduszkowi odwagę i męztwo wmówić? Blagą bębna, która wszystkich ogłusza, dowieść sobie i duchowi swemu, jeśli ma jaki (!), że mędrszym jest nad zajęcze głupstwo swoje? Czy nie chce się wam mimowoli, podstawić mu pod mordkę główki kapusty, jemu, co jednakże członkiem jest wyznawców Euterpy i należy do filharmonijnego towarzystwa?

Teraz ten kogut z trąbką, co grzebień sobie na głowie niby bohatér wieniec laurowy ustawił. Widzicie ten wysoki kołnierz jego?... Czy to czasem nie kancellista?

Na krzyczących flotrowersach, jak na trąbach sławy, grają buldog-literat (któż on?) i drugi szczygieł-literat (któż nim także?) podczas gdy wół, wół ze spokojem zwierzęcia pojmującego potrzebę pracy, moralności i ekonomii politycznéj.... były może prezes jakiego ekonomicznego towarzystwa... na waltorni ciężkiéj swé duszy, poważnie mu wtóruje.

Poeta-kotek, miły nasladowca Karpińskiego sielanek, dmie ponad tém wszystkiém w melancholiczny swój flecik... a w drugim kącie pies-wyżeł, (tym niech choćby już kto chce będzie), na kręconéj trąbce, jak niejeden wydawca-spekulant na wygiętym nosie wietrzącego myśl jego redaktora, przygrywa.

Wieprz—któż nim jest, proszę, jak nie emeryt, po 35-ciu latach służby w akcyzie?—ze stoicyzmem w ziemię patrzy. Muzyka go nie uniosła i z natury mierzy oprawnym w słoninę okiem—w błoto.

Nie widzicież w tém wszystkiém koncertu całego świata? I koncert ten dusz różnych i różnych instrumentów, nie przedstawiaż wam się w jednéj, wyraźnéj, sformułowanéj idei — zgody pomiędzy członkami wspólnéj respubliki: *mierności* i *głupoty*?

Szkoda, że kobiét w tym gronie jeszcze niéma! Byłby zbiór pełny już wtedy i cały! No trudno, widać damy nie nadają się wcale do koncertów takich i widać Grandvill'e dla żadnéj z nich jeszcze nie znalazł odpowiedniego do gry jéj, instrumentu!

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom I.

(*Ciąg dalszy*).

Miss Glyn zbliżyła się do krzaku bzu, stojącego cicho, jak gdyby nic nie krył w sobie.

— Sybillo, zejdź, rzekła.

Lekki wiatr poruszył liście bzu i znowu było cicho.

— Zejdźże zaraz! zawołała Miss Glyn w złym humorze—mógłabyś się wstydzić. Nigdy nie słyszałam iżby jaka panna tak sobie postąpiła!

Gdy i to wezwanie pozostało bez odpowiedzi, Blanka rozszerzyła gałęzie i zajrzała.

— Ptaszek uleciał — rzekła wesoło,—a jednak przed minutą jeszcze tu była, bo widziałam jéj nogę i uszczypnęłam ją. Doprawdy, miss Glyn, pani spoglądasz na mnie, jakbym ja ją namówiła żeby się kryła na drzewo.

Miss Glyn, obrażona nieprzyzwoitym postępkiem Sybilli, i „zuchwałém spojrzeniem” Blanki, odeszła, nie mówiąc ani słowa.

— Otóż to — rzekła Blanka, gdy weszła do pokoju swojéj przyjaciółki, wystawiłaś mnie na gniéw miss Glyn. Nie właziłam na drzewo, a wina na mnie spada. Chciałabym żebyś jak najrychléj została hrabiną. Może z tego słońca spadłby i na mnie jaki promyk. Jakże ci się wydał hrabia? czy naprawdę wyjdziesz za niego?

— Czyż ja mogę wiedzieć?

— Moja droga, wszystko dąży do tego. Wszyscy go forytują i jeżeli nie powiesz „nie,” to nie widzę coby mogło stanąć na zawadzie.

— Mogę powiedzieć „nie.”

— Ale nie zechcesz.

Sybilla nie odpowiedziała nic; machinalnie skubała zieloną gałązkę zerwaną z drzewa. Zaczynała się lękać że Blanka prawdę mówi: w głębi duszy czuła, że prawdopodobnie nie wyrzecze tego słowa. Siebie saméj zatém najbardziéj jéj lękać się wypadało. W istocie rzadko bywa, iżbyśmy sami nie byli największém niebezpieczeństwem, największą pokusą dla siebie.

— Zatém,—rzekła miss Cains—być, albo nie być?

— Chciałabym sama to wiedzieć, Blanko, chciałabym żeby

mi kto pomógł do rozjaśnienia tego pytania. Szkoda że niéma stryja, zrzuciłabym ciężar na niego, a sama odpoczywała. Cóż byś ty zrobiła?

— Powiedziałabym „tak” bogatemu hrabiemu, a „nie” ubogiemu, rozumie się: bo cóżby ubogi mąż zemną robił?

— Ale gdybyś mną była?

Panna Cains potrząsnęła głową.

— Nie wierzyłam nigdy w metampsychozę i nigdy nie mogę przenieść się w położenie innéj osoby. Ja jestem ja, nie kto inny, — Blanka Cains.

Sybilla westchnęła; znikąd nie miała pociechy ani pomocy. Niespodziéwany wypadek tego jeszcze wieczora dostarczył jéj zwłoki. Matka hrabiego de Renneville zachorowała śmiertelnie.

— Nie chciałaś dziś rano widzieć hrabiego, to go nie prędko zobaczysz—rzekła miss Glyn tonem wymówki.

— Mocno żałuję—odpowiedziała Sybilla—bo sądzę, że bardzo kocha swoję matkę.

— O, on taki uczuciowy—z zapałem rzekła miss Glyn.—Mogłam to dostrzedz.

Stali w ogrodzie... Sybilla obejrzała się, szukając okiem Blanki, aby jéj udzielić wiadomości; ujrzawszy ją nadchodzącą, zawołała:

— Wiész Blanko! pani de Renneville jest bardzo chora.

— Czy tak? roztargniona miss Cains zapytała.

Widząc niezwykłą zmianę w jéj twarzy, Sybilla zawołała:

— Blanko, co tobie?

— Nic, miss Blunt pisze, że zwalnia mnie zupełnie z zawartéj umowy.

— Zostaniesz więc nazawsze ze mną! zawołała Sybilla, obejmując ją serdecznie.—Teraz cię nie puszczę.

— Żarty, rzekła Blanka, śmiejąc się.

— Nie żarty, prawda ciotko? Ojcze, wszak nie puścimy Blanki?

— Rozumie się że nie—wesoło odpowiedział Kennedy.

Miss Cains spojrzała na pana Kennedy i rzekła żwawo:

— Zapewne pan nie przypuszczasz iżbym termin oznaczony przez Sybillę na seryo brała, ale jeżeli chcecie mnie państwo znosić tu jeszcze tydzień lub dwa...

— O, panno Cains — przerwał Kennedy — nie rań że serca Sybilli, mówiąc o tygodniach, kiedyby jéj i lata nie zadowolniły.

Po kilku podobnych ceremonialnych frazesach, pozostawiono rzecz bez stanowczego rozstrzygnięcia.

ROZDZIAŁ XXI.

Dzień był pochmurny, szary; mgła od morza wznosiła się w górę; ciężkie chmury zalegały nad Saint-Vincent, a powietrze tak było przenikająco-zimne, że zamiast w ogrodzie, towarzystwo nasze zebrało się w salonie. Miss Glyn opuszczając na chwilę robotę trzymaną w ręku, rzekła:

— No, uważam to za niezręczność ze strony hrabiego de Renneville, że się tak długo nie pokazuje. Już miesiąc upłynął od śmierci jego matki.

— Ciotko, on jest w ciężkim smutku pogrążony.

— Wierzę, ale skądże ty wiész o tém?

— Deniza mi mówiła.

Miss Glyn nic nie odpowiedziała, ale Blanka zpod oka spojrzała na swoję przyjaciółkę. Uważała już że Sybilla zaczęsto przestaje z Denizą i miała jéj to za złe. Byłaby może jaką stosowną rzuciła uwagę, ale w téj chwili zaanonsowano hrabiego de Renneville.

— Królewicz przybywa, niechże zaczarowana piękność będzie gotowa—rzekła Blanka.

Sybilla doznała pewnego rozczulenia, ujrzawszy hrabiego. Jakże blado, znękanie wyglądał! Smutek i czuwanie wyryły ślady na jego twarzy. A jakkolwiek wydawał się poważnym i smutnym, ku niéj zwrócił oczy, jak tylko wszedł. Rozmawiał z panną Glyn, do niéj nie wyrzekł ani słowa, a jednak czuła że dla niéj to wszystko mówi.

Obie panny trzymały się na stronie i nie brały udziału w rozmowie; Blanka dlatego że się nią nie interesowała, Sybilla dlatego że serce jéj tak biło, iż trudno jéj było wyrzec słowo. Znowu opanowało nią tak znane jéj już uczucie—dręcząca ciekawość swego przyszłego przeznaczenia. Patrzyła na niego i rozmyślała. Przyszedł tu dla niéj, to oczywiste; wiedziała o tém, ale co daléj nastąpi? Czy dwie te obce sobie osoby, siedzące z daleka w salonie jéj ojca: córka Jakóba Kennedego i hrabia de Renneville, mogą się kiedyś połączyć ręka w rękę, by iść drogą życia aż do końca dni swoich, aż do śmierci? Wiedziała, że nie sama tylko miłość przyjście jego spowodowała, ale wiedziała także, że była jego wybraną i nie czuła się tém obrażoną, że hrabia nie mógł się żenić z ubogą dziewczyną.

Czuła pewną przyjemność w myśli, że tytuł i majątek zrównoważą w pewnym względzie ofiary stron obu. Wyobrażała się w owym starym zamku, gdzie portrety familjne spoglądać na nią będą z ścian, w które ona wniesie zamożność i życie. Tak, była w tém pewna przyjemność, ale czy dostateczna? Czy uczyni Sybillę szczęśliwą? Spojrzała nań, aby w jego twarzy znaléźć odpowiedź na to zapytanie; a ta godność i duma jakie w niéj wyczytała, zdawały się ręczyć za przyszłość. Nie zdawało się iżby człowiek ten mógł postępować nieszlachetnie względem żony, którą wybrał. Słuchała, a głos jego wydał jéj się miłym, równie jak i przedmiot rozmowy.

— Rzecz dziwna, dlaczego czuję pociąg ku niemu — myślała Sybilla—niepodobnem jest to uczucie do miłości, o jakiéj czytywałam, a jednak sprawia mi przyjemność. Nie przypuszczam, iżbym w nim była choć trochę zakochana, a jednak zdaje mi się, iżby to było przyjemnością, a nawet szczęściem być jego żoną. Są panny które się nigdy nie zakochują, taką już mają naturę,—zdaje się że i ja do nich należę. Wszystkie te romanse nie są w moim guście. Nigdy nie lubiłam skrytych miłostek w powieściach; czyż to nie lepiéj postępować otwarcie, poważnie a czule? Podoba mi się téż ów francuzki zwyczaj udawania się naprzód do starszych. Jeśli panna wié, że rodzice związek jéj aprobują, może bez trwogi oddawać się uczuciu, a jeżeli tego nie wié, jak łatwo może wpaść w kłopot i smutek. Bo dajmy na to, gdyby hrabia do Renneville naprzód odemnie usłyszał „tak“ a potém od ojca i ciotki „nie,“ cóżby to dla mnie za przykra rzecz była!

Tu wątek myśli Sybilli przerwany został przypadkową wymianą spojrzeń z Blanką, w któréj oczach ukryte ale bardzo zrozumiałe malowało się szyderstwo. Zarumieniła się Sybilla i zwróciła twarz do okna. Nagle zawołała:

— Dészcz!

Rzeczywiście deszcz zaczął padać i z każdą chwilą stawał się bardziéj rzęsisty. Hrabia de Renneville wstał i przybliżył się do drugiego okna.

— Muszę państwo zaraz pożegnać— nie mam czasu do stracenia.

— Już zapóźno — odpowiedział Kennedy — nie możemy pana na taki dészcz puścić. Musisz hrabia dziś u nas zostać na obiedzie.

Mówił to bardzo uprzejmie, ale pod wpływem uczucia gościnności, bez żadnéj dalszéj intencyi. Hrabia zapewne to zrozumiał i po krótkiéj wymówce i wahaniu się, przyjął zaproszenie. Potém, opuściwszy miss Glyn, wielce uradowaną z obrotu rzeczy, spokojnie przysunął krzesło do kozetki, na któréj siedziała Sybilla, ażeby córce domu grzecznym się okazać. Było to naturalne, choćby nie miał żadnych zamiarów; że je miał jednak, to widocznem było z jego oczu, powściągliwych, spokojnych, a jednak badawczych. Rozmawiając o przedmiotach, mogących podobać się młodéj pannie, nieznacznie egzaminował ją i badał usposobienie. Przy obiedzie Sybilla, ochłonąwszy nieco z piérwszego strachu, była ożywiona, nawet swawolna, czasem spostrzegając się że jest pod egzaminem, czasem zapominając o tém. Napróżno miss Glyn marszczyła brwi, rzucała spojrzenia, miss Kennedy okazywała się jaką była i rozmawiała o wszystkiém, co jéj przyszło do głowy. Najmniéj zadowolił miss Glyn temat o stryju Sybilli. Noc była burzliwa a Sybilla przypuszczała, że stryj jéj właśnie jest w drodze. Hrabia okazał sympatyą do tego jéj zmartwienia, za co mu Sybilla podziękowała spojrzeniem. Ojciec zaś rzekł na to:

— Niéma się o co troszczyć, Sybillo, Edward jest wytrawnym podróżnikiem.

Miss Glyn spoglądała z niechęcią, a miss Cains z pogardą.

Sybilla, nieważając na to, zaczęła wysławiać przymioty nieobecnego stryja, tak iż nareszcie i ojciec jéj spoglądać zaczął z nieukontentowaniem. Hrabia de Renneville słuchał jednak z wielkiém zajęciem. Ta pamięć serdeczna o krewnym podobała mu się. Wprawdzie nie miał wielkiego upodobania w przedmiocie jéj pochwał, ale cóż to stanowiło? Dziéwczę siedemnastoletnie łatwo odczepić od jéj poprzednich stosunków; ale gorące uczucie pozostaje, chociaż przedmiot ubóstwienia zniknie z pamięci. Hrabia zatém zadowolony był z wyników swych obserwacyj, a gdy wracał do domu przy świetle księżyca na wypogodzoném niebie, wyznał sobie że odkrył rzadką perłę i że powinien ją zabrać jaknajprędzéj, nim go kto inny uprzedzi.

— Sybillo, rzekł Kennedy do córki, gdy się zabiérała do swego pokoju — pójdź zemną, chcę z tobą pomówić.

(*d. c. n.*)

NOWINY.

— W „Illustracyi europejskiéj“ spotkaliśmy reprodukcyą z obrazu Neuville'a, p. t. „Faust i Mefistofeles, jadący na sabbat“. Artystyczna ta praca, przypominająca Doré'go, nasuwa nam pomimowoli na pamięć wrażenia, jakich doznaliśmy przy czytaniu „Fausta“ Getego, tudzież rozliczne zdania krytyków o tém arcydziele znakomitego poety, w którym Niemcy widzą istotnego przedstawiciela idei germańskiéj. Zdaniem naszém, które ośmielamy się tu wypowiedzieć, prawdziwie ten piękny i wzniosły dramat, zarówno pod względem formy jak treści, pozostawia w umyśle i sercu czytelnika wrażenie podobne do tego, jakiemu uledz musi każdy wpatrujący się w niezbadaną a ponętną dla nas nieskończoność. Obok tego budzi on jakąś niewiarę w idealność i wszystko co uszlachetnia i podnosi człowieka nad poziom materyi. Walka dobra i zła w umyśle ludzkim, była, jak wiadomo, najwyższém zadaniem wieków średnich. Wcielenie téj walki w legendzie o Fauście datuje jeszcze z wieku XV-go. Opowiedział ją pewien mnich niemiecki, nazwiskiem Vidmann, i wydał we Frankfurcie w 1587 r. p. t. „Cudowna i smutna historya o Janie Fauście, wielkim magiku, z dodatkiem jego testamentu i opisem smutnego jego żywota“. Na poparcie wypowiedzianego tu zdania naszego o tym utworze znakomitości germańskiéj, przytaczamy własnoręczne pismo autora „Fausta“ do znanego estetyka a jego przyjaciela Erckmana: „Nie usiłuj, słowa są listu, pojąć myśli która mię natchnęła do napisania Fausta. Sława i popularność zdobywają się częściéj wadliwością, jak prawdziwą zasługą. Faust jest szczególną dziwacznością. Podobał się też najwięcéj z ujemności swéj i nieokréślonéj tajemniczości. Ma on pociąg nierozwiązalnéj zngadki“.

— 1-go grudnia r. b. p. Stolpe, artysta dramatyczny sceny naszéj, ma obchodzić czterdziestą rocznicę artystycznego swego zawodu. Kto zna i rozumie co to jest życie artysty dramatycznego, idącego po szczeblach stopniowych w hierarchii sztuki, ten ze słusznem uznaniem powita zamiar p. Stolpego pozostania nadal na deskach scenicznych, oceni wraz z nami tę niezłomną miłość sztuki w zasłużonym artyście, a winszując dyrekcyi teatralnéj takich pracowników, podzieli zapewne nasze zdanie, iż p. Stolpe, jako *bene merens*, zasługuje na odpowiednią ze strony téj dyrekcyi nagrodę.

— W szeregu prelekcyj, jakie mają miéć miejsce w sali Resursy obywatelskiéj, da się słyszéć p. Julian Ochorowicz, kand. nauk. przyrodz., znany już publiczności z pięknych swych studyów naukowych, z odczytem p. t. „O pracy umysłowéj w stosunku do pracy fizycznéj“.

— P. Wiktor Sommer, redaktor „Ekonomisty“, otrzymał upoważnienie rządu do wydawnictwa nowego pisma „Gazeta przemysłowo-rzemieślnicza“. Redaktorem tego pisma ma być p. Makowiecki Aleksander.

— W „Illustracyi europejskiéj“ czytamy szczegóły o ucieczce cesarzowéj z Paryża i Francyi. Powodzenie swe w téj mierze, jakiego nie doznała niegdyś mniéj od niéj szczęśliwa małżonka Ludwika XVI, cesarzowa Eugenia zawdzięcza prawdziwie rycerskiéj szlachetności Amerykanina d-ra Ewansa.

— W illustracyi francuzkiéj znajdujemy opis ciekawy rozmaitych sposobów, w jaki bracia nasi z Azyi i Afryki, bo równie jak my *homines sapientes*, według definicyi zoologicznéj, objawiają sobie wzajemnie uprzejmość przy powitaniach. Postanowiliśmy podzielić się tém, cośmy spotkali w tym opisie, z czytelnikami. Japończyk, spotkawszy sąsiada na ulicy, zdejmuje pantofel z jednéj nogi, wchodząc zaś do domu, zdejmuje z obu. Wyspiarze chińscy grzeczność tę odbywają w sposób niewygodny nieco dla spotkanego, przeto nie chciałbym nim być wcale, a mianowicie biorą jego rękę, (to jeszcze nic, ale najczęściéj nogę) i pocierają nią sobie twarz i nos. Na wyspach Zundskich nogę lewą witanego kładzie sobie witający na głowie. To już coś zanadto gimnastycznego dla właściciela owéj lewéj nogi!.. Filipińczyk cały ciężar grzeczności bierze już tylko na siebie. Klęka bowiem przed spotkanym, pięty podniósłszy do góry, a nachyliwszy czoło, ręce swe przykłada do policzków. Chińczyk południowy wita słowami „Y a fan?“ co znaczy: czy zjadłeś swój ryż? W Arabii szczęśliwéj jest prowincya Kormen, w któréj Arab witający gościa przecina sobie żyłę i krew swą podaje mu do wypicia.



Walny koncert amatorski filharmonijnego towarzystwa.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego. Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis.